OBCHÓD LISTOPADOWY

W Obozie Internowanych Żołnierzy Polskich w Szwajcarji

OBRAZEK SCENICZNY

Napisał

KS. A. SYSKI

Drukiem Przewodnika Katolickiego
New Britain, Conn., U. S. A.

OBCHÓD LISTAPODOWY

W Obozie Internowanych Żołnierzy Polskich w Szwajcarji

OBRAZEK SCENICZNY

Napisał

KS. A. SYSKI

Drukiem Przewodnika Katolickiego
New Britain, Conn. U. S. A.

(Obrazek ten można odegrać w Ameryce zamiast zwykłego obchodu listopadowego. Dodaje się do niego wówczas tylko zagajenie obchodu na początku i zamknięcie na końcu).

OBCHÓD LISTOPADOWY

(**Obrazek Sceniczny**)

Osoby na scenie w obrazku występujące:

Pięciu oficerów polskich: *Leon, Stefan, Stanisław, Adam, Michał, i jeden ordynans, Buba.*

Scena przedstawia izbę w baraku oficerskim w Pfaffnau. Z jednej i z drugiej strony izby stoją łóżka polowe i umywalki. W środku stół i parę krzeseł. Na stole dzbanek z wodą, resztki chleba i parę szklanek. Na krzesełkach rozrzucono ubranie, kołnierzyki, gazety itd. Na łóżku leży i czyta książkę oficer polski Stefan. W głębi spaceruje, pali fajkę i śpiewa sobie drugi oficer Leon.

LEON: *(śpiewa)*

Na dolinie zawierucha,
Wiatr ze śniegiem dmie, —
(bis) Na kominie ogień bucha
Trzaska wkoło mnie....

Przy kominku z fajką stoję,
Puszczam w kłęby dym,
(bis) A wspomnienia wszystkie moje
Lecą razem z nim.

Niechaj lecą, jak leciały
Chwile młodych lat,
(bis) Które z sobą mi zabrały
Cały szczęścia świat.

Gdzie ten kwiatek, gdzie nadzieje?
Opuściły mnie!
(bis) Jeden wiatr co w polu wieje,
Tylko mi dziś dmie!

On bez celu, ja bez celu,
Jak ten lulki dym
(bis) Dwóch nas tylko, dwóch nie wielu,
Lećmy razem z nim!

STEFAN: Wiesz co, Leonie, dałbyś już spokój z tym swoim śpiewem, bo mi tylko grasz na nerwach, i nie mogę nawet czytać. Wiadomości z wojny nadchodzą coraz gorsze. Niemcy Londyn w dzień i w nocy bombardują. Wojska polskiego już tylko resztki. O ochotnikach z Ameryki do armji polskiej w Anglji ani słychu. Hallerowi z Ameryki na jego listy o pomoc dla armji polskiej tamtejsza Polonja nasza nie wiele robi nadziei. Zasłania się neutralnością amerykańską. Nietylko ludzi do armji polskiej nie werbują, ale i na gwiazdkę dla żołnierzy nie wiele dają. Nawet na głodnych i na fundusz ratunkowy coraz mniej już Polonia Amerykańska teraz zbiera. Rada Polonji tej dużo obiecywała i obiecuje, ale mało robi. Składek dotąd nie wiele. Obiecywano zebrać miljony, lecz i tysiące trudno im idą... A naród polski w Polsce tymczasem z głodu ginie. Głód, chłód, choroby szerzą się w Polsce w straszliwy sposób. Gestapo hula. Czerwona gwardja Moskwy grasuje. Wkrótce zabraknie w Polsce Polaków. Zostaną tylko niemcy naziści, i trochę żydów. I zostaną jeszcze tam może tylko te kałmuki, te bolszewiki nasłane do nas do Lwowa z Moskwy. My, rozproszeni po całym świecie, dogorywamy. Z Polski musieliśmy ustąpić. Chcieliśmy bić się dalej o Polskę z Niemcami we Francji. Mieliśmy nawet dobry początek. Zebrało się tam ze sto tysięcy żołnierzy i już stworzyło się parę ładnych dywizji. Był rząd i wojsko. Stanął na czele wojska i rządu wódz, w którego wszyscy wierzyli. Stanął na czele naszym Sikorski. I znowu wszystko niespodziewanie się zawaliło. Francja klapnęła. Zbolczewiczali za rządów Bluma francuzi bić się nie chcieli. Puścili z boku aż hen pod Paryż tanki Hitlera prawie bez strzału. Nawet mu mostów, gdy uciekali, przed jego nosem nie wysadzili. Tłumaczyli się, że

w popłochu zapomnieli; że się przenigdy nie spodziewali, aby ich zaszedł właśnie z tej strony. Oni mu linję Maginota uszykowali, a on ich z boku nakrył, jak ryby w saku, że niemał portki swoje gubili, tak przed tankami i bombowcami Hitlerowskimi uciekali. Przekleństwo, widać, jakieś nad nami. Co wobec tego mieliśmy robić? Tocieśmy się my, żołnierzy polscy i tam w Polsce i tu we Francji bili przecież, jak należy. Nasz żołnierz i tam w Polsce i we Francji nie uciekał. Praliśmy Niemców, ale co z tego? Nietylko ludzi, ale nabojów nam nie starczyło. Wreszcie kazano nam się wycofać. Zębami na to każdy z nas zgrzytał. Lepiejby było poledz i zginąć pod kulami, tak jak zginęli i polegli we Francji prawie wszyscy koledzy nasi z pierwszej dywizji. Szli w ariergardzie, niemcy ze wszech stron ich otoczyli, ale się oni im nie poddali. Nawet przez tanki ich się przedarli. Znaczna większość ich poległa, ale i niemców jednak nasiekli. Przez góry trupów szli nazistowskich. Ci, co polegli teraz przynajmniej mają już spokój. A my co? Życieśmy swoje ocalili, niemcom się nie poddali, granicę szwajcarską przeszli, bo taki oto rozkaz nam dano. Licho nadało z takim rozkazem. Trzeba było trupem paść z bagnetem w ręku, idąc na tanki, a nie ustąpić. Na co nam życie? Na co nam życie, kiedy zwyciestwaśmy nie odnieśli? Kiedyśmy Polski nie wyzwolili? Kiedy tam w Polsce Hitler i Stalin dalej grasuje i braci naszych w niewoli trzyma. Na co nam życie? Byśmy jak wieprze internowani tutaj w Szwajcarji szwajcarskim chlebem z łaski Szwajcarów się tu tuczyli, żyjąc bezczynnie, gdy Polska kona? Na co nam życie? Do licha z takim żołnierskim życiem! Trza było poledz w bitwie z wrogami, a gdy się głupstwo już uczyniło i za granicę wycofało i nie poległo, to trzeba chyba samemu tutaj w łeb sobie palnąć....

LEON: No? Już skończyłeś? Ulżyło ci. Wyrzygałeś wszystko z serca? To się uspokój teraz, Braciszku! Usiądź sobie lub się połóż, albo jeśli chcesz w łeb sobie

palnąć, to sobie palnij. A mnie głowy nie zawracaj. Tylko z czego w łeb sobie palniesz, kiedy broń naszą i rewolwery nam odebrano? Więc uspokój się, Braciszku, a mnie pozwól, żebym sobie również ulżył. Gorzałki niema. Upić się nie mogę. Tańcować nie mam z kim. Smiać się nie mam do kogo. To pozwól, żebym sobie choć zaśpiewał, bo chyba przecież i sam rozumiesz, że

(Śpiewa)

Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie!
Ten temu swat, ten temu brat,
A już żołnierzom to każdy rad.

A więc śpiewajmy:

LEON *(śpiewa)*

Była babulinka z rodu bogatego,
Miała koziołeczka bardzo rozpustnego.
Fik, mik, fik, mik, szwadyrydy, rydy,
Ciach, mach, ciach, bardzo rozpustnego.

A ten koziołeczek, ten był bardzo tłusty,
Wyjadł on babuli ogródek kapusty. Fik, mik, itd.

Wzięła babulinka kijaszka małego,
Zaczęła wyganiać koziołka psotnego. Fik, mik, itd.

I wygnała ci go na rozstajne drogi,
Zajedli go wilcy, zostawili rogi. Fik, mik, itd.

W jednym więc rożenku piwa nawarzyła,
A w drugim rożenku słoninkę smażyła. Fik, mik, itd.

(Po babuleńce śpiewa dalej)

Kaj się działy one lata, co człek na nich użył świata.
Jadał, pijał, wyśpiewywał, co niedziela w karty grywał.

Oj jody, jody, Oj jody jody, oj da dana.
Oj jody, jody, Oj jody jody, oj da dana.

Krzesał ogień podkówkami, machał pięścią nade łbami.
Ze słoniną jagły jadał i z ludziami się nagadał.
Oj jody, jody itd.

Pojechałem do Łowicza i kupiłem śtukę bicza
Tożem trzaskał, tożem hukał, tom dziewuchy sobie szukał.
Oj jody, jody itd.

LEON *(zwraca się do Stefana i mówi)* No chodź, Stefciu, niech Cię uściskam, dopóki jeszcześ w łeb sobie nie palnął. Co to pomoże to Twoje psioczenie i przeklinanie. Wspomnij lepiej dawne czasy i zaśpiewaj razem ze mną, jakieśmy to niegdyś śpiewali jeszcze w sztubie na uniwerku.

LEON *(śpiewa)*

Gaudeamus igitur juvenes dum sumus;
Post iucundam juventutem,
Post molestem senectutem
Nos habebit humus,
Nos habebit humus. *(bis)*

Vita nostra brevis est,
Brevi finietur,
Venit mors velociter,
Rapit nos atrociter,
Nemini parcetur, *(bis)*

Pereat nazismus, pereat Hitlerus,
Pereat Stalinus, alter Luciferus,
Pereat et Mussolini,
Eant ad inferos trini,
Ubi jam fuere. *(bis)*

LEON do STEFANA: I tego nie chcesz. Nie podoba ci się łacina? Śpiewajmy więc znów po polsku.

(śpiewa)

Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie.

Koledzy go nie ratują,
Jeszcze końmi go traktują.

Kapitan z pułku wymaże
Porucznik grzebać rozkaże.

A za jego młode lata
Grają w trąby tra ta ta ta.

A za jego trudy prace
Grają mu kule, kartacze;

A za jego trudy, lata.
Daje ognia cała rota.

"Requiescat" zaśpiewają
I już go nie pamiętają.

LEON: I tego nie chcesz? No to z innej beczki zacznijmy. Chyba na patrjotyzm i na Rotę Ciebie wezmę. Tego chyba nie odmówisz, jeśli jesteś patrjota.

(Śpiewa)

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski lud!
Królewski szczep Piastowy!
Nie damy by nas zgnębił wróg!
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli żył!
Bronić będziemy ducha!
Aż się rozpadnie w proch i pył
Krzyżaczka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg!
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił!
Orężny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił,
Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg:
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

(W czasie śpiewania puka do drzwi i wchodzi żołnierz, ordynans Leona.)

ORDYNANS: Panie kapitanie. Melduję posłusznie, żeby pan kapitan tak głośno nie śpiewał, bo goście idą.

LEON: Stul pysk, ty durniu. Jeszcze i ty tu będziesz mi uwagi zwracał. Nie wiesz, że żołnierz oficerowi nie rozkazuje, ale go słucha. Mów tylko: słucham posłusznie, i basta.

ORDYNANS: Tak jest, panie kapitanie. Słucham posłusznie i basta.

LEON: *(śmiejąc się)* Ha, ha, ha! i basta. Osioł z ciebie kapitalny. To ja, oficer... Oficer mówi: basta. Nie ty, durniu. Rozumiesz. Ty masz mówić: słucham posłusznie, i koniec.

ORDYNANS: Tak jest panie kapitanie: słucham posłusznie i koniec.

LEON: Jaki koniec? Żaden koniec. Ty masz mówić: słucham posłusznie....I już.

ORDYNANS: Tak jest, panie kapitanie. Słucham posłusznie i już.

LEON: Jakie już? Jakie już? Skąd tam już? Masz mówić tylko: słucham posłusznie, i to wszystko.

ORDYNANS: Tak jest, panie kapitanie: Słucham posłusznie i to wszystko...

LEON: Chłopie! Rety. Laboga. Nie przyprowadzaj ty mnie do złości. Żołnierz mówi: Słucham posłusznie, salutuje i jazda.

ORDYNANS: Tak jest, panie kapitanie: Słucham posłusznie, salutuję i jazda.

LEON: Ludzie trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam. Ośle jakiś dardanelski. Jeszcze raz ci to powtarzam. Mów mi: Słucham posłusznie, i wynoś się.

ORDYNANS: Tak jest panie kapitanie: Słucham posłusznie i wynoś się.

LEON: *(ze złością zbliża się do ordynansa)* Tego już dosyć. Słuchaj Buba, dziękuj Bogu, że jesteśmy tu w obcym kraju internowani, bo inaczej popamiętałbyś to dobrze. Jak ci mówię: wynoś mi się, to jako żołnierz słuchaj posłusznie i marsz. Zrozumiałeś nareszcie?

ORDYNANS: *(Jeszcze raz odwraca się, staje na baczność, salutuje i mówi)*: Tak jest, panie kapitanie: Słucham posłusznie i marsz.

LEON: *(z furją rzuca się do Ordynansa. Ordynans ucieka)*: Skaranie boskie z taką głupotą. Wolałbym mieć do czynienia już z tankami nazistowskimi, aniżeli z tym naszym głupim Bubą.

(Drzwi z hałasem się otwierają i wchodzi trzech kolegów Leona i Stefana, oficerów polskich też internowanych: Stanisław, z ręku na temblaku, Adam i Michał).

STANISŁAW: Czołem...Czołem...Co słychać?... *(witają się)*: Co wy tu wyprawiacie hałasy. O co tu chodzi?

STEFAN: Uszanowanie! Uszanowanie... Ot darł się Leon na całe gardło z tym swoim śpiewem, aż się widocznie i ordynansowi słuchać tego sprzykrzyło i przyszedł go tu uciszyć, a ten wnet zaczął zwykłą rozprawę swoją z żołnierzem.

ADAM: No i może znowu chłopa poturbował?

STEFAN: Nie poturbował, bo żołnierz uciekł, ale już mało co brakowało.

MICHAŁ: Mój Leonie, czemu ty dokuczasz ordynansowi? Przecież to się tak nie godzi.

LEON: Jezu Kochany! Ja dokuczam ordynansowi? Toż ten błazen w żywe oczy kpi ze mnie, a oni mówią: ja mu dokuczam. Wyście się na mnie chyba uwzięli. Stefan mi nie da gęby otworzyć, ordynans zwraca mi uwagę i rozkazuje: żebym się nie darł, bo goście idą, a kiedy mówię mu po dobremu: Stul pysk, — to mnie przedrzeźnia, a oni mówią: ja mu dokuczam. Wiesz Stefan. Ja chybam muszę razem z Tobą w łeb sobie strzelić. Jeno skąd my zdobędziemy tu rewolwery?...

STEFAN: Leon nie błaznuj. Poczęstuj lepiej kolegów choć papierosem.

LEON: Papierosem?... Koniaczek! Szampan dla tak miłych gości. Ordynans. Daj nam szampana.

ORDYNANS: Tak jest. Panie Kapitanie. Melduję posłusznie: Daj nam szampana.

LEON: Głupiś. Skąd ci wezmę szampana, kiedy i siwuchy nie mamy ani nawet i na lekarstwo, a w kieszeni naszej płótno. Chyba gdzie wezmę na kredyt.

ORDYNANS: Tak jest. Panie Kapitanie. Melduję posłusznie: Chyba gdzie wódki wezmę na kredyt.

LEON: Dobra. *(ordynans biegnie po wódkę).*

LEON: *(do Stanisława)* Bądź pozdrowion, patrjoto! Jakże Twa ręka? A jakże nogi? Będziesz miał teraz fach doskonały. Lekki chleb cię teraz czeka. *(śpiewa)*:

Pomoc dajcie mi rodacy,
Bo okrutny los mnie nęka —
Żebrać muszę, bo do pracy,
Jedna mi została ręka.

Ziomek, nędzarz, bogacz w blizny,
Głos błagalny do was wznosi,
Żołnierz wierny dla Ojczyzny
O jałmużnę ziomków prosi.

Porzuciłem ojca, matkę,
Porzuciłem żonę, lubą,
Porzuciłem mienie, chatkę,
Pogardziłem życia zgubą.

Biegłem kędy boj wrzał krwawy,
Walczyć pod ojczystym znakiem,
Krew przelałem, w polu sławy,
A dziś muszę być żebrakiem.

Zabrał zły sąsiad dostatki,
Wiatry z ogniem dom zerwały,
Nie mam ojca, dzieci, matki,
W grób się przed nędzą schowały.

Mnie zawistny los tu gniecie,
Znoszę nędzę, uragania,
Nic tu nie mam na tym świecie,
Prócz tej ręki do żebrania.

Bez nadziei, bez pociechy,
Prowadzę życie tułacze,
Wzdycham do rodzinnej strzechy,
Lecz jej pewno nie zobaczę.

STANISŁAW: Kiedy niestety, kości mi w ręku już się zrastają. Lekarz mówi, że za kilka dni wyjmie mi już rękę z gipsu. Ale słuchajcie. My tu do Was przyszliśmy dziś nie na gościnę i nie na żadne poczęstowanie, ale w ważnej sprawie. Czy Wy wiecie, że to już nadchodzi dzień 29-go listopada, a więc rocznica naszego Powstania Listopadowego. Trzeba urządzić jaki obchód narodowy, trzeba dzień ten jakoś uczcić.

LEON: Obchód? Brawo. Niech będzie obchód. Urządźmy obchód. Ja będę przewodniczącym.

STANISŁAW: Mój Leonie, nie przeszkadzaj. Przecież sam chyba rozumiesz, że Ty się wcale na przewodniczącego nie nadajesz. Przewodniczącym musi być ktoś starszy, kto ma posłuch, wpływ, powagę — ktoś,

którego już samo nazwisko otoczone jest pewnym splendorem czy to rangi, czy godności, czy zasługi, czy nauki. Zastanawialiśmy się już nad tym trochę, idąc tu do Was, i zdaje nam się, że może najlepiej byłoby powołać do prezydium naszego obchodu następujące osoby: na przewodniczącego kapelana dywizji naszej, ks. pułkownika Birkowskiego, na wiceprzewodniczącego seniora naszego korpusu oficerskiego majora Bylicę, a na sekretarza podporucznika Chodźkę. Ksiądz Birkowski, człowiek uczony, zaraz na wstępie, jak to on lubi, powie nam jaką mądrą sentencję, może z samego nawet Arystotelesa lub Cycerona, i okrasi swą wymową nasz cały obchód. Reprezentuje on zresztą stan duchowny, no i ma rangę i poważanie. Major Bylica, choć trochę głuchy i nie mówca, ale jako wiceprzewodniczący nada zewnętrznie powagi sprawie choćby swoją długą siwą broda, i imponującą piękną postawą i gromadą orderów na piersiach. A podporucznik Chodźko, choć to jeszcze młodzik i gołowąs, mówi jednak bardzo dobrze po francusku i potrafi się wypisać też i po polsku, przyda się więc do korespondencji zwłaszcza w prasie. Co o wszystkim tym myślicie?...

LEON: Ja myślę, że to wybór nieszczególny. Ks. Birkowski? Na co nam ks. Birkowski? żeby to jeszcze był ks. Bibkowski, to rozumiem. Zafundowałby nam bibkę po obchodzie za ten zaszczyt. Ale ks. Birkowski. Na co nam na obchodzie ks. Birkowski? żeby prawił nam kazanie? że on uczony? że on pobożny? że on umie po łacinie? To i co z tego? Na co nam jego łacina? Ale chcecie? Niech już będzie i łacina. Ten stary piernik major Bylica ze swoimi orderami, co zaraz zaśnie na estradzie, potrzebny jest nam również na obchodzie tak jak dziura w moście — chyba tylko na to, żeby tam była też i pierzyna, gdzie jest łacina. A ten żółtodziób, ten bawidamek Chodźko też tam potrzebny, jak cyrulik sewilski. "Musie..Musie.. wuj..wuj..wuj.. Maddam.. sil wu ple... wu mobliże"... i jak pchła wciąż tyl-

ko skacze. Wstyd, że takie co jest oficerem na pośmiewisko żołnierzy naszych. Ale chcecie? Niechaj będzie. Będziemy mieli ładne prezydium. Zupełnie tak, jak owi trzej regimentarze na czele pospolitego ruszenia szlachty w *Ogniem i Mieczem* u Sienkiewicza: "ŁACINA. PIERZYNA. DZIECINA." Ładne prezydium. A jak ja chcę przewodniczyć *(podkręca wąsa)*, to mnie nie dajecie. Ale trudno. Niech i tak będzie. Ja jestem zgodny, żebyście nie mówili, że się sprzeciwiam. Tylko Moi Drodzy, jeżeli chcecie takie mieć już przewodnictwo, to przynajmniej zgodźcie się na to, żeby mi się do programu na obchodzie nikt nie wtrącał. Ja go urządzę. Śpiew, deklamacja, mowa, muzyka na tym obchodzie do mnie należy. Ja będę generalnym solistą, mówcą i wszystkim.

STEFAN: Leonie tylko bez błazeństw!

LEON: Kreutzdonnerwetter. Ferfluchter! Mussolinihitler-stalin!... Jakie błażeństwa? Kto tu błaznuje? Ja Wam naprawdę obchód urządzę. Chcecie poważnie, smutnie, żałobnie? Mogę żałobnie... Siadajcie. Zacznę od

(Śpiewa)

Na groby Bracia na groby!
Nie wzrasta trawa nad nimi;
Kopią od doby do doby,
Grzebią i starce i młódź,
Na groby, nim zbraknie ziemi,
O Boże, ich z grobów zbudź!
Na groby nim zbraknie ziemi,
O Boże, ich z grobów zbudź!

Ach, oto nowa mogiła
Na groby nim zbraknie ziemi;
Poległych pierś jej broniła,
Naród za świętych ich ma.
(bis) Błagajmy Stwórcę wraz z nimi
Niech Polskę nam wolną da!

Przez braci zmarłych udręki,
Niewinne matek cierpienia,
Przez nasze łzy, bóle, jęki,
Przez krwawą ofiarę dusz;
(bis) Wysłuchaj Boże te pienia,
Litością się Ojcze wzrusz!

(Skończywszy "Na Groby", śpiewa "Bracia, Rocznica".)

Bracia! Rocznica więc po zwyczaju,
Niech każdy toastem spłaci:
Ten pierwszy puhar święcim dla kraju!
Drugi dla ległych współbraci!

A teraz zdrowie moskiewskich branek!
A wiecie zdrowie to czyje?
Zdrowie sióstr naszych, matek, kochanek...
Zapewne każdy wypije!

A teraz basta! basta panowie!
Niech każdy w miejscu usiędzie;
Dajcie gitarę! Wino już w głowie,
A więc i piosnka wnet będzie.

O, nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki niewiasty tam czują!
Bo z ich to serca spłynie trucizna,
Którą wrogowie się strują.

Jeszcze wykarmią one w zaciszy
Grono olbrzymie młodzieży,
Od nich pacholę o nas usłyszy,
I jak my w wolność uwierzy.

Wstanie mąż wielki z tych polskich kości,
Wielki, jako sny za młodu!
Z poczuciem krzywdy całej ludzkości,
A z mieczem swego narodu.

A jako niegdyś potopem świata
Ludzkość zalały łzy Boże,
Tak i on mieczem świętego kata
Na ziemię puści krwi morze.

A nad tym morzem, nad tą posoką,
Korab nasz polski wypłynie,
I białe ptasze wzleci wysoko,
I poda różdżkę drużynie.

Otworem staną lochy podziemne,
Gdzie w więzach butwiały kości,
I będą nasze więzienia ciemne
Miejscem odpustu ludzkości.

Pielgrzymką do nich pójdą narody,
Ogniwa kajdan rozbiorą,
I jak relikwje, na cześć swobody,
Całować będą z pokorą.

Kloc ów skrwawiony, na którym głowy
Świętych padały z rąk kata,
Będzie ogniskiem świątyni nowej,
Ołtarzem nowego świata!

(Wszyscy milczą w czasie śpiewu pogrążeni w smutku.)

LEON: Smutno wam? Czekajcie. Zaraz będzie wesoło.

(Śpiewa)

Precz, precz od nas smutek wszelki,
Zapal fajki, staw butelki,
Niech wesoło z przyjacioły słodko płynie czas.
Niech wesoło z przyjacioły słodko płynie czas.

Cóż pomoże narzekanie?
Co się stało, nie odstanie,
Dobrym wszędzie dobrze będzie,
A złym wszędzie kwas.

Niech fortuna w zmianach chyża,
Tych wywyższa, tych poniża!
Kto poczciwy, ten szczęśliwy
Nie dba o jej grot.

Jeszcze słońce nam zaświeci,
Wiwat, bracia Filareci!
Których męski umysł klęski
Umiał znieść dla cnót.

Hej no ty panie marszałku,
Daj nam ciasta po kawałku,
A ty Bachu, miły Stachu,
Pełne szklanki lej!

Dalej Kułakowski, dalej,
Niechaj czara krąży w sali
Człek pijany losu zmiany
Umie znosić lżej!

Pijmy zdrowie Mickiewicza,
On nam słodkich chwil użycza.
Wszelkie troski koi boski
Jego lutni dźwięk!

Gdy poczciwość w świecie znana
Któż poczciwszy jest nad Zana?
Więc panowie, jego zdrowie,
Wiwat Tomasz Zan.

Gdy uwielbień godna cnota,
Któż godniejszy nad Czeczota,
Więc panowie jego zdrowie.
Wiwat Czeczot Jan!

Jeszcze bracia wznieśmy szklanki
Każdy zdrowie swej bogdanki
Biedne chłopcy, którym obcy
Jest miłości wdzięk!

Poczekajcie jeszcze proszę,
Jeszcze jeden toast wznoszę:
W góre czasze! Zdrowie nasze
Wiwat mnie i wam.

A gdy czara wypróżniona
I od czczości wena kona,
Lepiej będę wieść gawędę
Wierszom krzyżyk dam.

(Następnie śpiewa: "Czemu Tęsknisz")

Czemu tęsknisz za chatą, za chatą, za chatą.
Czy ci tu źle kratą, za krata,
Jest?

Mamy wszelką swobodę, swobodę, swobodę.
Chleb, kapustę i wodę, i wodę.
Wciąż!

żyjem sobie wygodnie, wygodnie, wygodnie.
Ubieramy się modnie, się modnie
W strzęp!

Nie boim się złodziei, złodziei, złodziei,
Bo pilnuje z kolei, z kolei
Straż!

Śpimy sobie spokojnie, spokojnie, spokojnie.
Nie myślimy o wojnie, o wojnie
Nie!

Nikt nie trąbi: Do broni, Do broni, Do broni.
Nikt na musztrę nie goni, nie goni
Nie!

Śpimy sobie na pryczy, na pryczy, na pryczy.
A nasz Stach się wciąż bzdyczy, wciąż bzdyczy
Z ran!

(W czasie śpiewu "Precz, precz!..." ordynans przynosi wódkę i nalewa kieliszki. Z wyjątkiem Stefana i Stanisława, którzy odmawiają picia i innym pić nie radzą, reszta pije po kieliszku.)

LEON: No co? Wesoło? Napijmy się! W ręce Twoje, kolego Stanisławie! Nie pijesz? Wiem...Wiem...Abstynent z Ciebie taki, jak i Stefan. Ale My, Michaś i Adaś, się napijemy. W ręce Wasze niezawodne!

ORDYNANS: Panie kapitanie! Melduję posłusznie. Czy i ja mogę też wypić choć jednego?

LEON: Pij chłopie, ale tylko jednego, żebyś się nie urżnął.

(Ordynans wyciąga z szafki specjalny duży kieliszek, nalewa sobie i pije.)

LEON *(spostrzega to i mówi)*: Buba, z jakiego kieliszka ty pijesz? Ile razy już Ci mówiłem, nie pij tak wiele, bo się tak rozpijesz, że jak z wojska wrócisz do domu, to Cię i rodzony Ojciec nie pozna.

ORDYNANS: Panie kapitanie! Melduję posłusznie, ja się nie rozpiję. Ja tylko troszkę...tylko jeden.

LEON: A juści troszkę, tylkc jeden. Toć Ty masz ze cztery nasze kieliszki w tym swoim jednym! Skądżeś Ty sobie dostał taki kieliszek?

ORDYNANS: Panie kapitanie. Melduję posłusznie, to mi wujek z Ameryki na gwiazdkę przysłał. To jest blaszany w sam raz tylko dla wojaka, bo się nie stłucze. To jest od wujka z Ameryki.

LEON: Jakiego wujka? Co Ty za wujka masz w Ameryce?

ORDYNANS: Panie kapitanie. Melduję pokornie, mój wujek w Ameryce jest bogaty i ma nietylko swoją chałupę, ale i salun cały w Ameryce. Jak się tylko wojna skończy i nas wypuszczą, to on mnie weźmie też do siebie i tam ożeni z jedną taką bogatą panną amerykańską, co śwarnego takiego chce chłopaka, co był na wojnie.

LEON: Oj głupi Buba. Ameryki i żeniaczki Ci się zachciewa i to z bogatą panną amerykańską.

ORDYNANS: Panie Kapitanie. Melduję posłusznie. Mnie się nie zachciewa, ale wujek mnie ożeni i ta ame-

rykanka w Ameryce już na mnie czeka. Wujek mi przysłał jej fotografję, bo ona strasznie wojaków lubi i jak Wujek jej powiedział, co ja też wojak, to strasznie we mnie się rozmiłowała i szyfkartę ma mi przysłać.

LEON: To napisz jej Buba, niech Ci przyszle dwie szyfkarty, to ja też z Tobą pojadę.

ORDYNANS: Panie Kapitanie. Melduję posłusznie. Kiedy ona nie chce kapitanów, jeno wojaków.

(Wszyscy wybuchają śmiechem. Leon zamierza się na ordynansa. Ordynans ucieka.)

ADAM: A to go ubrał...Ha...Ha...Ha...

STANISŁAW: Wiesz, Leon, szczęśliwy jesteś, że tak potrafisz nietylko siebie, ale i drugich rozruszać. Lekko widać ci na sercu nawet teraz tu na wygnaniu, kiedy Polski już nie mamy, kiedy ta matka nasza tam w naszym kraju tak strasznie krwawi.

LEON: Lekko mi na sercu? Co wy tam wiecie? Wam się zdaje, że wy tylko jesteście patrjotami, że wy tylko wiecie, co się dzieje w Polsce! Gdzie moje skrzypce? Zaraz wam zaśpiewam. *(Śpiewa, udając wiejskiego lirnika przy akompaniamencie skrzypiec: "Dręczy lud biedny...")*

Dręczy lud biedny Hitler okrutny,
Pociesz, ach pociesz, Naród Twój smutny,
Pod Twą opiekę weź nas na nowo:
Polski Królowo, Polski Królowo!

Kraj nam zabrali, myśmy w niewoli,
Znowu płaczemy w ciężkiej niedoli,
Otrzyj łzy nasze swymi modłami,
Módl się za nami, Módl się za nami!

Dodaj nam siły wytrwać, nie zginąć,
Bezdroża ciemne wśród burz ominąć,

Praojców cnoty zbudź w nas na nowo,
Polski Królowo, Polski Królowo!

Korony Polskiej Królowo Święta,
Liljo bez zmazy grzechu poczęta!
Patrz winy nasze zmywamy łzami:
Módl się za nami, Módl się za nami!

Za wiarę świętą wróg nas morduje,
Zasiewem błędów serca nam truje;
Daj, niech znów zabrzmi jedności słowo,
Polski Królowo, Polski Królowo!

Trzeba nam mocy, bratniej miłości,
Poświęceń trzeba i wytrwałości,
Byśmy się dźwigli z nieszczęścia sami.
Módl się za nami. Módl się za nami!

Policz łzy krwawe, co znowu płyną,
Policz ofiary, co w więzach giną,
Daj, niech nam wolność wzejdzie na nowo,
Polski Królowo, Polski Królowo!

(Śpiew się kończy. Oficerowie łzy ocierają. Leon się znowu zaczyna śmiać.)

LEON: No i co? Czy zły mój obchód?

STANISŁAW: A no wiesz Leon, może i dobrze, że nam zaśpiewasz tak na obchodzie o tym dręczeniu ludu naszego. Mógłbyś zaśpiewać jeszcze i tę drugą piosenkę listopadową o tych tam liściach. Jak to tam jest?

LEON: Już wiem. Słuchajcie:

(Śpiewa: "Lecą liście")

Lecą liście z drzewa, co wyrosło wolne,
Nad mogiłą śpiewa jakieś ptaszę polne.
Nie było, nie było, Polsko, dobrze tobie,
Wszystko się prześniło, a twa dziatwa w grobie.
Wszystko się prześniło, a twa dziatwa w grobie.

Popalone sioła, rozwalone miasta,
W polu zaś dokoła zawodzi niewiasta.
Wszyscy poszli z domu, wzięli z sobą kosy.
(bis) Robić niema komu, w polu gniją kłosy.

Kiedy pod Warszawą dziatwa się zbierała,
Zdało się, że z sławą wyjdzie Polska cała.
Bili się przez lato, bili zimę całą,
(bis) Lecz w jesieni zato i dziatwy nie stało.

Skończyły się boje, ale próżna praca,
Bo w dziedziny swoje nikt z braci nie wraca;
Jednych ziemia gniecie, a drudzy w niewoli,
(bis) A inni po świecie bez chaty, bez roli.

O! Polska Kochana! Gdyby Ci rodacy,
Co za ciebie giną, wzięli się do pracy
I po garstce ziemi z Ojczyzny zabrali,
(bis) Jużby dłońmi swymi Polskę usypali.

LEON *(skończywszy śpiewać)* No co, dobrze?

STANISŁAW: Dobrze, dobrze, i to się przyda. Można wstawić i to na program. Ale przecież obchód nie może się składać z samego śpiewania, trzeba żeby przedewszystkiem była mowa programowa.

LEON: To ja i mowę. Jak Boga kocham. Ja wam kropnę też i mowę.

STANISŁAW: Słuchaj Leon. Do mowy to się już ty nie bierz. Śpiewać możesz, a i to pamiętaj, żeby było jak najkrócej, tylko te dwie smutne piosenki listopadowe i nic więcej. Obchód musi się odbyć conajwyżej w godzinie — no, niech będzie w półtory godziny. Na dłużej nam nie pozwala szwajcarska komenda obozu...Obawia się, że gdyby obchód ten trwał przydługo, toby nam w głowie mógł poprzewracać swym patrjotyzmem. Pozwolenie nam na obchód więc wydano, ale czas ściśle ograniczono. Trzeba, żeby cały obchód trwał conajwyżej godzinę i pół. Więcej ponadto ani sekundy. Więc trzeba

wszystko zgóry obmyśleć i czas wymierzyć. Wstęp, zagajenie, dwa tylko śpiewy, jedna mowa programowa, króciutka jaka, jedna także deklamacja, troszeczkę jakiej muzyki, i punktum... kropka. Żadnych teatrów, żadnych przedstawień i zwłaszcza żadnych żywych obrazów patrjotycznych polskich. To zbyt rozżarza chorobliwą i tak już przecież wyobraźnię w żołnierzu polskim. Tak oświadczono nam w komendzie. Musimy się tego trzymać. Tak więc, Leonie, króciutkie tylko te dwie piosenki, a co do mowy, to ty się z nią nie wyrywaj, bo naprzód przecież nie umiesz i ględziłbyś, jak Piekarski na mękach, a potem nie wiesz nawet, gdzie i od czego zacząć i gdzie i na czym skończyć.

LEON: Ja? nie umiem mowy mówić? Ja jak Piekarski ględzę na mękach. Rozstąp się ziemio! Ja nie umiem mowy mówić! Ja nie wiem od czego mowę mam zacząć?... Boże, Ty słyszysz, a nie grzmisz na te bluźnierstwa! Słuchajcie, ludzie, ja mówię mowę: Bracia Rodacy. No i Rodaczki. Ty błaźnie ordynansie nie śmiej się tam, bo i do ciebie mowę swą zwracam...Bracia Rodacy i Rodaczki. *(Chrząka i krztusi się. Oficerowie uspakajają go i usadzają).*

STANISŁAW: Leon siadaj. Nie przeszkadzaj. Mowę już mamy przygotowaną, tylko nie wiemy, czy nie za długa. Chcemy ją właśnie tutaj przeczytać, przedyskutować i czas obliczyć, ile ona czasu zajmie. Przeczyta ją nam tu Adam, a potem wszyscy zdecydujemy, czy się nadaje i kto ją ma wypowiedzieć.

LEON: No, to czytajcie. Mnie wszystko jedno. Nie chcecie, żebym ja mowę mówił, to sobie sami ją tam gadajcie. Ja od tej mowy ręce umywam. Czytaj Adam.

ADAM: *(Wstaje, i wyjmuje papier i czyta mowę).*

RODACY i RODACZKI:

Słuszną jest rzeczą, abyśmy czcili rocznicę dawnych zmagań się uciemiężonego naszego narodu; abyśmy ser-

cem, uczuciem, i myślą przenosili się w krainę wielkich, narodowych pamiątek, gdzie miłość Ojczyzny,bohaterstwo jednostek i wielkość poczynań zlewały się w piękną całość poświęcenia i oddania siebie w ofierze: Polsce!

Imię Polski było święte, patrjotyzm płonął wśród młodzieży, jak żywe ognisko wiary, żaden wysiłek nie był za trudny, śmierć i katorga nie straszyły młodych. Z wyrzeczeniem się interesów własnych dla dobra ogółu rozpoczynano i kończono każdą pracę. Naród, którego kwiat stanowiła tak usposobiona młodzież, choć zgnębiony i ujarzmiony, zgiąć się nie mógł i nie chciał. Rwał pęta w przekonaniu, że rozerwać je potrafi i odbuduje na nowo ojczyznę.

Na podłożu takich uczuć i myśli powstał plan rewolucji przeciw rządom rosyjskim w Królestwie t. zw. Kongresowym, które utworzone było w r. 1807 przez Napoleona, a oddane w 1812 carowi Rosji Aleksandrowi I.

Konstytucja, którą car ogłosił, jako król Polski, dawała dużo nadziei, odrębny ustrój i samodzielność wewnętrzną. Zapewniona była wolność osobista, wolność prasy, samorząd miast. Urzędy publiczne miały być sprawowane przez Polaków, język polski obowiązujący. Wojsko miało być polskie, a ilość wojska zależeć miała od zasobów finansowych kraju. Utworzony został Sejm, który zwoływany miał być co dwa lata.

Ludowi włościańskiemu jednak, chociaż obiecano "ojcowską troskliwość" nie dano uwłaszczenia, czego żądał przecież Ksiądz Staszic, a co w okresie powstania swego w Krakowie proklamował Tadeusz Kościuszko. Ale pomimo to w Polsce prawie wszyscy, spodziewali się, z czasem uzyskać więcej. Jednakże rozczarowanie nastąpiło dość szybko. Nominacje cara na najwyższych dostojników Królestwa zawiodły oczekiwania. Spodziewano się, że namiestnikiem będzie zasłużony Ks. Adam Czartoryski. Naczelnikiem wojsk opinja publiczna mianowała ukochanego swego wodza: Tadeusza Kościuszkę! Tymczasem ku powszechnemu zdumieniu namiestnikiem został mało lubiany gen. Zajączek, a naczelnym dowodcą wojska polskiego srogi i okrutny, przez własną matkę i naród rosyjski znienawidzony, — ks. Konstanty, brat cesarza Aleksandra.

Oprócz tego do Warszawy wysłał car pełnomocnika swego, senatora Nowosilcowa. Krętacz jakich mało, Nowosilców był wrogiem wolności i konstytucji.

Tak rozpoczęła się w Polsce wnet samowola.

Słynne było znęcanie się ks. Konstantego nad wojskiem. Lubiał on wojsko polskie i ożenił się nawet z polką, księżną Łowicką, ale był dzikim i niepohamowanym w złości okrutnikiem. Na widok źle przyszytego guzika u żołnierza wpadał we wściekłość. Zdarzało się, że żołnierza, na którego gniew swój zwrócił, obalał uderzeniem pięści na ziemię, a później kopał bez upamiętania. Oficerów lżył na placu Saskim w Warszawie publicznie, podczas przeglądu wojska. W armji polskiej, pamiętającej świetne tradycje z czasów Napoleona, żywiącej wysokie poczucie honoru, brutalne to postępowanie wodza budziło grozę i wewnętrzny bunt. Oficerowie podawali się do dymisji, kilku szlachetnych młodzieńców nie mogąc znieść upokorzenia, odebrało sobie życie.

Innymi znów sposobami doprowadzał kraj do rozpaczy Nowosilców. Zorganizował on sieć szpiegowską, a wiadomości tą drogą zdobyte posyłał carowi do Petersburga. Wślad za tym szły rozporządzenia Aleksandra, zacieśniające konstytucję.

Mnożyły się też wskutek tego związki tajne pod hasłem: precz z despotyzmem! Kto czuł patrjotycznie i gorąco, temu przemawiały do serca ideały wolności i równości, i ten brzydził się tyraństwem, a ślubował życie swe poświęcić ideałom. W r. 1821 stworzył się spisek pod nazwą "Towarzystwa Patrjotycznego". — Policja Nowosilcowa wykryła jednak tę organizację. Zaczęły się

aresztowania. W r. 1822 wtrącony został do więzienia major Łukasiński założyciel spisku. Dwa lata dręczono go w ciemnej piwnicy; dzielny major nie wydał nikogo ze swych towarzyszy. W czerwcu r. 1824 zapadł wyrok skazujący Łukasińskiego na dziewięć lat ciężkiego więzienia, dwóch jego towarzyszy, z nim razem zaaresztowanych, na sześć lat.

Oczywiście, że nie był to sposób na stłumienie buntu. Było to raczej dolewanie oliwy do ognia. Spiski szerzyły się wśród młodzieży i starszych.

Tak przygotowywało się powstanie, które wybuchło w r. 1831, w nocy 29 listopada.

Nowosilcow przeczuwał, że stanie się cóś złego i — uciekł z Warszawy. Księciu Konstantemu donoszono o knującym się powstaniu.

Kiedy wybuchło powstanie, pierwszym zadaniem sprzysiężonych było zabicie Konstantego lub uwięzienie. 18 podchorążych podjęło się dokonać napadu na Belweder. Podporucznik Wysocki w tym samym czasie miał uderzyć na koszary trzech pułków rosyjskiej gwardji.

Tymczasem, w samym już początku zaczęły się niepowodzenia. Pożar który miał być hasłem powstania, przedwcześnie wybuchnął na Solcu i przedwcześnie zgasł — niedojrzany. Oddział Nabielaka mający uderzyć na Belweder napróżno czekał hasła w ogrodzie Łazienkowskim. Wreszcie wyruszyli na zwiady, i spotkali Wysockiego. Mimo wszystko postanowili działać i Nabielak uszykowawszy spiskowców w dwa oddziały ruszył na Belweder.

Lecz niestety, Konstantego wczas ostrzeżono. Posłyszawszy hałasy zerwał się z posłania i schronił w pokojach żony. Tymczasem do Belwederu z ostrzeżeniem przybył właśnie gubernator Lubowidzki. Stanął przed drzwiami sypialni Konstantego i osłaniał je. Uderzony

bagnetami,padł zalany krwią, a w tej samej chwili powstał krzyk w tylnych pokojach pałacu, że książe zabity! Cofnął się oddział Nabielaka i przerwał poszukiwania. Tak, książe Konstanty wyszedł cało z napadu.

Równocześnie z napadem na Belweder dokonał Wysocki napadu na koszary 3 pułków jazdy rosyjskiej i zdobył je. Spiskowcy upojeni zwycięstwem ciągnęli ku miastu, by proklamować powstanie i ustanowić naczelnego wodza. Spotkali gen. Potockiego. — Prowadź nas generale — prosili spiskowcy. Lecz Potocki dowództwa nie przyjął.

Podobnie odmówił generał Trembecki, za co padł ugodzony kulą. Padł również z rąk powstańców generał Blumer. Rząd królestwa stracił głowę, wodza nie było.

Fatalnie zaciężył ten brak właściwego kierownictwa, o czym spiskowcy nie pomyśleli poprzednio. Szlachetna młodzież porwała się do czynu, sądząc, że każdy prawy Polak stanie po ich stronie. Niestety, zawiedli się. Dopiero Chłopicki, nalegany o przyjęcie dowództwa, zdecydował się przyjąć kierownictwo, ale jednocześnie nie wierzył w siły. Tymczasem książę Konstanty z wiernymi sobie wojskami rosyjskimi ruszył ku Litwie—nie zatrzymywany przez nikogo.

5 grudnia 1830 r. Chłopicki ogłosił się dyktatorem, 18 grudnia począł zgromadzać się sejm. Opinja powszechna domagała się, i słusznie, wyruszenia na Litwę. Lecz Chłopicki tłumił ten zapał, wreszcie zrzekł się dyktatury. Rządy ujął w ręce swoje sejm. Należało przedewszystkiem w miejsce Chłopickiego obrać nowego wodza. Został nim Ks. Michał Radziwiłł, niezdatny jako wódz; Chłopicki przyrzekł go wspierać.

Tak, pierwszy czas, najlepszy czas powstania, został zmarnowany. Sejm wyłonił z siebie jako ciało rządzące Rząd Narodowy, z księciem Adamem Czartoryskim na czele, mężem pełnym zasług, lecz nie wierzącym również w powstanie. — I znów czas płynął. . .

Rosjanie w pierwszej chwili zaskoczeni, zdecydowali się siłą stłumić powstanie. Car Mikołaj na poskromienie rewolucji wysłał 200,000 wojska i 600 dział pod wodzą słynnego generała rosyjskiego Dybicza.

Armja polska liczyła naówczas 56,000 ludzi i 105 armat. Oprócz tego istniał korpus Dwernickiego, składający się z 6,000 ludzi. —Zasłaniał on lewy brzeg Wisły. —Duch w narodzie był silny, młodzież rwała się do powstania, kadry bojowe polskie pomnażali zgłaszający się ochotnicy —można było wierzyć jeszcze w zwycięstwo.

Dowiodły tego pierwsze starcia z Rosjanami, a zwłaszcza bitwa pod Stoczkiem, dnia 14. lutego. Wojsko polskie prowadził do ataku generał Dwernicki. Rosjanie w panicznym strachu ratowali się ucieczką. Było to pierwsze zwycięstwo polskie.: małe coprawda, lecz o wielkim znaczeniu moralnym. Wojsko polskie nabrało otuchy i zapragnęło dalszych zwycięstw.

17 lutego gen. żymirski odparł dzielnie ataki Rosjan pod Kałuszynem, ale cofnął się pod Wawer. Gen. Skrzynecki stoczył krwawą walkę pod Dobrem: stracił 300 żołnierzy, lecz straty Rosjan były daleko większe.

Rosjanie zbliżali się ku Warszawie, by zaatakować stolicę, pokonać powstańców i przywrócić dawne rządy. Lecz na błoniach wawerskich stały wojska polskie. Zwycięstwo chyliło się najpierw na stronę polską, lecz siły przeciwnika były kilkakrotnie przeważające. tak, że powstańcy musieli się cofnąć. Cztery tysiące Rosjan, a trzy i pół tysiąca Polaków zabitych i rannych zaległo pola pod Wawrem.

Pamiętna bitwa rozegrała się w lasku olszowym między Grochowem a Kawenczynem. Lasek ów, który zasłynął później pod mianem Olszynki, był pozycją czołową polską, a zarazem osłaniał przed wojskami rosyjskimi równinę prowadzącą ku przedmieściu warszawskiemu, ku Pradze.

Naczelny wódz armji wroga, Dybicz, zatapiał wzrok swój chciwy w tę Olszynkę, ale zarazem i Chłopicki, w którym nareszcie ocknął się żołnierz, postanowił za wszelką cenę nie oddać lasku.

Nadszedł dzień 25 lutego. Wojsko polskie rwało się do boju. Miało ono 38,000 ludzi i 82 działa. Armja rosyjska liczyła 58,000 żołnierza i 196 dział. Oprócz tego 12,000 ludzi i 56 armat wiódł na pomoc Rosjanom książe Szachowski.

Generałowie Krukowiecki i Lubieński zajmowali pozycje na trakcie siedleckim. Krukowiecki stary generał, lecz zbyt ambitny i zazdroszczący Chłopickiemu sławy, rozgromił wprawdzie Rosjan pod Białołęką, lecz następnie nie śpieszył na pomoc głównym siłom polskim.

Pod Olszynką zawrzała bitwa. Lasek to zdobywany był przez Moskali, to odbierali go znowu Polacy, to znowu Moskale, wśród morderczej walki, huku armat i ataków jazdy. Pod Olszynką dowodził sam Chłopicki. Sił miał za mało. Śle więc rozkaz za rozkazem do Krukowieckiego, by przybywał z pomocą, wzywał też Lubieńskiego, aby wszystkie siły rzucił na wroga. Lecz Lubieński tłumaczył się, że nie Chłopicki jest wodzem, ale Radziwiłł. Krukowiecki też milczał i nie przybywał. Chłopicki, teraz dopiero ocknął się, ożył. Wśród gradu kul, nieustraszony, zimny, skupiony, wydaje trafne rozkazy, wreszcie sam rusza na przedzie, na zdobycie armat. Wtem granat uderza w jego konia. Generał ranny, osuwa się na ziemię. Unoszą go, ratują, lecz w szeregi wdziera się zwątpienie, znika duch zwycięstwa.

Skrzynecki ratuje odwrót. Polacy cofnęli się przez most ku Pradze, ku Warszawie. Rosjanie nie podążyli za powstańcami: nie uważali się za zwycięzców, ponióśłszy bardzo ciężkie straty. Ale w Warszawie zapanowała niepewność. Chciano wybrać nowego wodza. Ale kogo? Wybór padł na Skrzyneckiego, a był to wybór

fatalny. Skrzynecki zaczął od układów z Dybiczem, snuł plany dyplomatyczne i znowu tracił czas, zamiast posłuchać swoich doradców i uderzyć na Rosjan.

Dopiero na wiadomość, że Dybicz zbliża się ku Warszawie, zdecydował się na rozpoczęcie działania. Siły polskie staczają zwycięską walkę pod Wielkim Dębem, ale tu znowu Skrzynecki nie umie wyzyskać zwycięstwa i nie zarządza pościgu za wrogiem.

Pod Iganiami piękne zwycięstwo odniósł Pradzyński, lecz i tu zawiódł Skrzynecki.

Zagranicą niechętnie patrzano na powstanie. To też nie można się było spodziewać pomocy z zagranicy, trzeba było oprzeć powstanie na własnych siłach, trzebyło przedewszystkiem pobudzić do powstania Ruś i Litwę, a w Królestwie nie dać spocząć wrogowi.

Na Litwę wysłano wreszcie generała Chłapowskiego, a i Skrzynecki pod presją wyruszył z Warszawy. Nierozegrana bitwa pod Ostrołęką przyniosła armji polskiej stratę 9,000 żołnierzy. Wówczas Skrzynecki zarządził odwrót ku Warszawie.

Jaśniejszą kartą powstania było jeszcze zwycięstwo pod Boremlem odniesione przez Dwernickiego, który miał zmobilizować Ruś. Lecz było to jednak ostatnie zwycięstwo tego generała. Pierwszego maja pod presją sił przeważających przekroczył Dwernicki granicę austrjacką i złożył broń. Na Litwie liczne oddziały partyzantów zdobyły w potyczkach Rosienie, Telsze i Szawle, a marzyły nawet o Wilnie.

Gdy nadciągnął tam Chłapowski z wojskiem polskim, oddziały te postanowiły zebrać się razem i wzmocnić armję Chłapowskiego. Przybył też generał Giełgud ze swoim oddziałem na Litwę i zdawało się, że tak wzmocnione powstanie rozwinie się pomyślnie. Lecz i tu — jak w Warszawie — brakło wodza. Giełgud, którego zamianowano głównodowodzącym, trawił czas na niczem we Wilnie, a Chłapowski, jako niższy rangą, musiał go słuchać.

Bezradność i gnuśność Giełguda wyzyskali Rosjanie: skoncentrowali swe siły i poczęli otaczać powstańców. Armja polska cofała się ku granicom Prus, gdzie Giełgud zarządził przekroczenie granicy. Młody oficer, Kazimierz Skulski, zapłonął gniewem na taki rozkaz; spiął konia ostrogami, podjechał do Giełguda i wystrzałem z pistoletu zabił go na miejscu, wołając:—Bracia, tak giną zdrajcy ojczyzny!

Tu wspomnieć trzeba zaszczytnie Emilję Platerównę, —jako dzielną organizatorkę powstania i jako żołnierza. Brała ona czynny udział w wyprawie na Dynaburg, walczyła potem pod komendą Załuskiego, a gdy Chłapowski przechodził granicę pruską nie szczędziła mu słów pogardy. Nie złożyła broni, lecz wśród największych niebezpieczeństw przedarła się ku reszcie wojska polskiego, pozostającego na Litwie pod generałem Dembińskim. W drodze rozchorowała się i zmarła dzielna ta niewiasta, która honor i odwagę miała męską.

Tymczasem w Warszawie działo się źle: Skrzynecki rządził niedołężnie i armja polska rozsprzęgała się w karności. Odebrano wreszcie naczelne dowództwo Skrzyneckiemu, a dano je Dembińskiemu, który bezplanowością swoją jeszcze bardziej popsuł sprawę.

Gdy wkońcu po ustąpieniu Dembińskiego, Krukowiecki zkolei dorwał się do władzy, los Warszawy był już przesądzony. Rosjanie zdobyli ją mimo rozpaczliwej obrony wojska, mimo krwawych ofiar i bezprzykładnego wprost w dziejach świata bohaterstwa całych pułków, oddziałów i dowódców. Złotymi głoskami, choć krwawymi, zapisała się w dziejach Polski obrona Woli przez generała Sowińskiego. Był to weteran, bez nogi, który w momencie krytycznym zgłosił się sam o dowództwo w punkcie najniebezpieczniejszym. Wojska miał za mało, bo zamiast 4,000, jakich wymagało

obsadzenie fortyfikacji na Woli — tylko 1,300 żołnierzy otrzymał. Przyrzekł jednak nie opuścić żywym szańca.

Słowa dotrzymał. Po wdarciu się Rosjan do fortyfikacji sam walczył z bagnetem w ręku, do ostatniego tchu broniąc zagrożonej placówki. Tam też i poległ. W ten sam sposób broniona była i wysadzona wreszcie w powietrze przez swego dowódcę słynna reduta Ordona.

Po upadku Warszawy powstanie już dogorywało i upadło. Generał Ramorino, włoch, lecz w polskiej służbie — zdradził, a generał Rybiński z resztą wojska polskiego przeszedł granicę pruską. Żołnierz posłuszny wezwaniu rzucał broń, a potem twarz rękoma zakrywał i płakał.

Niemniej jednak czcić musimy dzień Powstania Listopadowego, jako dzień, w którym wszyscy szlachetnie myślący Polacy, a zwłaszcza młodzież, zapragnęli wolności, odważyli się na odruch zerwania kajdan, — zamarzyli o Polsce.

Piękne należy się wspomnienie tym, co polegli w dobrej wierze i za dobrą sprawę, tym co szarpali się w krwawej rozterce, widząc powstanie upadające, —wszystkim bohaterom, co Polskę kochali i na ołtarzu jej miłości złożyli ostatnią kroplę krwi. Nie możemy zapomnieć o żadnej mogile żołnierza polskiego, lecz zawrzeć je musimy wszystkie w sercach naszych miłujących, w pamięci co wspomina, w umyśle, który nietylko rozważa i sądzi — ale miłuje.

Bohaterom powstania listopadowego — Cześć!

(Kiedy Adam skończył czytać swoją mowę, wszyscy klaszczą i winszują mu.)

LEON: Niech cię gęś kopnie, kochany kolego Adamie. Świetną mowę napisałeś i świetnie ją przeczytałeś. Przyznam ci się, że i jabym może lepiej nie napisał. Już się nie gniewam, że nie chcecie mnie na mówcę,

i stawiam wniosek, aby nam mowę na tym obchodzie wygłosił Adam i to bez żadnych zmian tak, jak ją tu przed chwilą przeczytał.

STANISŁAW: Popieram wniosek i zdaje mi się, że jednogłośnie go przyjmujemy.

WSZYSCY: Przyjmujemy, przyjmujemy. Niech żyje nasz mówca obchodowy, porucznik Adam!

LEON: A więc zgoda. Adam będzie naszym mówcą obchodowym. Ja już do mowy pretensji nie mam. Ale przecież na obchodzie trzebaby też i co zagrać. Zaprosimy juście na obchód naszą orkiestrę pułkową, ale trzeba, żeby było też i solo. Stawiam wniosek, że dam solo koncert na swoich skrzypcach na tym obchodzie, jako że jestem artysta skrzypek, sławny oddawna po całym świecie, i koncertowałem już nieraz z wielkim sukcesem.

STEFAN: Słuchaj Leoś. Wkręciłeś się już ze śpiewem na nasz obchód, ale jeżeli jeszcze się wkręcisz tam ze swoją muzyką, to ja zgóry ci oświadczam, że na ten obchód wcale nie idę. Co za dużo, to nie zdrowo. Ja nie wytrzymam. Koledzy! stawiam wniosek formalny, aby orkiestrę pułkową jak mówi Leon, zaprosić, ale Leona z jego solową fuszerską muzyką na skrzypcach na programie naszego obchodu za nic w świecie nie stawiać. Ja stawiam wniosek, ażeby solo na skrzypcach odegrał nam nie żaden fuszer taki, jak Leon, ale prawdziwy artysta muzyk, kolega Michał.

LEON *(Zrywa się i, przyskakując do Stefana, krzyczy):* Fuszer! Fuszer! Ja jestem fuszer? Ja Cię wyzywam za tę zniewagę na pojedynek. Tyś mnie ubliżył. Gdzie rękawiczka? Ordynans, podaj mi rękawiczki. Leć po rewolwer, szable, pistolet. Ja Stefanowi w twarz rzucam obie swe rękawiczki. Ja go wyzywam na pojedynek. Ja mu w łeb strzelę. Adam, Michał, bądźcie moimy sekundantami. Na pojedynek! Na pojedynek! Krwią swoją zmyjesz mi zniewagę. Jako oficer koledze ofcierowi znie-

wagę swoją mógłbym przebaczyć ... Jako artysta i to tak wielkiej sławy, jak Paderewski, lub Modrzejewska, nigdy, przenigdy ci nie przebaczę. Ty samobujco! Ja cię na tamten świat wyprawię prędzej, niż ty sam sobie w łeb strzelisz. *(Wszyscy zrywają się, aby uspokoić Leona, gdy on nagle zaczyna śmiać się).*

LEON: A tom was nabrał. Nie bójcie się. Jabym Stefana miał wam zabijać. Jabym się z takim cherlakiem, z takim chuchrem, pojedynkował?— Daj Stefan gęby. ja ci przebaczam moją zniewagę i do swej łaski oraz przyjaźni znowu dopuszczam. Niech koncertuje wam na obchodzie kolega Michał. Niechaj będzie mu na zdrowie!

STEFAN: Zgoda..zgoda. Daj gęby, Leon. Jam zgóry wiedział, że znów błaznujesz.

LEON: A ja ci mówię znów także zgóry: nie zaczynaj, bo znów dostaniesz.

ORDYNANS *(podając Leonowi rękawiczki)* Panie Kapitanie. Panie Kapitanie! melduje posłusznie, są rękawiczki, ale ani rewolwera, ani szabli, ani pistoletu znaleść nie mogę.

LEON: Stul pysk, ośle dardanelski. Czemu się tu ciąle kręcisz? I czemu gębę swoją rozdziawiasz? Czy nie rozumiesz, co ci powiadam?

LEON: Tak jest, Panie Kapitanie. Pan Kapitan powiada, melduję posłusznie: Stul pysk, ośle dardanelski! *Leon zamierza się na ordynansa, ale ordynans zaraz zmyka, chytrze się tylko uśmiechając. Wszyscy się śmieją).*

STEFAN do LEONA: A to cię ubrał.

LEON do STEFANA: Śmiej się. Śmiej się. Rozpuściłeś ordynansa, jak dziadowski bicz, a ja z nim teraz mam tylko kłopot.

STEFAN: Ja rozpuściłem? A kto z nim się przekamarza, kto z nim prawie z jednej miski jada, kto go papierosami i wódką częstuje? Kto jak bóbr płakał nad nim gdy go odłamek bomby pod Modlinem zadrasnął. Przywlokłeś go z Polski z sobą aż do Francji, spasł się przy tobie, i shardział jak indyk, a teraz na mnie się skarżysz, że ci dokucza.

STANISŁAW: Dajcie już spokój tej waszej kłótni. Myślałby kto, że się wzajemnie w złości pozjadacie, tak że nawet i ogonów z was nie zostanie, a wy tymczasem, jak bracia siamcy żyć bez siebie nie możecie i obaj się tak kochacie, jak owi starożytni synowie Zeusa Kastor z Polluksem. Siadajcie i kończmy program nasz obchodowy. Orkiestrę tedy pułkową naszą zaprosimy, a pozatem niech nam kolega Michał odegra solo jaki utwór na skrzypcach, któryby mógł być odpowiedni na nasz obchód.

MICHAŁ: Kiedy doprawdy nie wiem, co zagrać, a przytem skrzypiec swoich tu nie mam.

LEON: To bierz moje. Pal cię sześć! Na każdych skrzypcach ty grasz dość dobrze, a choć daleko ci jeszcze do mnie, dam ci za darmo z parę lekcji przed obchodem i zagrasz fajnie.

MICHAŁ *(Bierze skrzypce, zastanawia się i mówi)* Doprawdy nie wiem, co wam zagrać. Chcecie, zagram marsz Chopina.

WSZYSCY: Świetnie! Graj marsz Chopina. *(Michał gra. Oficerowie się zasłuchają. Kiedy Michał grę kończy, oficerowie siedzą bez ruchu w zadumie dalej, jeden tylko Leon wstaje, podchodzi do Michała i zaczyna go całować).*

LEON: Michał, niech Bóg cię błogosławi. Grasz jak Anioł. Patrz łzy mam w oczach. Może to nawet za smutny utwór jest na nasz obchód. Będziemy wszyscy, jak na pogrzebie.

STANISŁAW: Leoś ma rację. Michał gra cudnie, ale żałobny marsz ten Chopina zbyt nas za serca targa. Polska dzisiaj jest w żałobie, krwawi i ręce do nas wyciąga w udręce swojej, rozpięta znowu przez oprawców swych na krzyżu, ale Polska nie umarła. Polska żyje, choć znękana. Polska nie umrze. Marsz żałobny na obchodzie naszym dzisiaj może byłby zbyt bolesny, może byłby nie na miejscu. Spróbuj Michał coś innego.

MICHAŁ: To może zagram wam Wienawskiego piosenkę polską. Jest także smutna, melancholijna, ale nie beznadziejna.

WSZYSCY: Zagraj piosenkę. *(Michał gra. Kiedy skończył, koledzy dają mu oklaski.)*

LEON: A więc to chyba postanowione. Zagrasz nam Michał na obchodzie tę piosenkę Wieniawskiego. Pozostaje nam już teraz na zakończenie obchodu jedynie jeszcze chociaż jedna deklamacja.

STEFAN (*przerywa Leonowi i mówi)*: Mój Leosiu. Moi koledzy. Marsz Chopina i ta piosenka Wieniawskiego tak mnie tutaj nastroiła, a przytem również i sam z siebie w takim jestem dziś nastroju, że proponuję wam na nasz obchód deklamację Miczkiewiczowskiej Reduty Ordona, którą pamiętam jeszcze z czasów mych studenckich. Pozwólcie mi ją zadeklamować.

WSZYSCY: Doskonale... Doskonale... Myśl jak raz przednia. Wiersz "Reduta Ordona" opisuje nam przecież akurat bohaterskie nasze boje w czasie powstania Listopadowego. Tylko czy całą aby pamiętasz?...

STEFAN: Takich się rzeczy nie zapomina, a choćby kiedy się zapomniało, to dzisiaj samo się w duszy odtwarza, i znów wybucha... Zresztą poszukaj Stefan książki na półce, jakbym się zaciął, to mi dopowiesz. Więc posłuchajcie.

(Stefan deklamuje z wielkiem patosem wiersz Mickiewicza: Reduta Ordona.)

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo

I spojrzałem na pole:—dwieście armat grzmiało.
Artylerji ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi.
I widziałem ich wodza; - przybiegł, mieczem skinął,
I jak ptak jedno skrzydło swego wojska zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśniona piechota
Długą, czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy,
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.
Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz bodzący morze, reduta Ordona!
Sześć tylko miała armat. Wciąż dymią i swiecą!
I nie tyle prędkich słów gniewne usta niecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

Patrz, tam granat w sam środek kolumny się nurza,
Jak w fale bryła ławy, pułk dymem zachmurza;
Pęka śród dymu, szyk pod niebo leci
I ogromna łysina śród kolumny świeci.
Tam, kula lecąc zdala grozi, szumi, wyje,
Ryczy, jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje,
Już dopadła: jak boa śród kolumny się zwija,
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słychać po dźwięku,
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku:
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
To jakby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
Nie! On siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
Król wielki, samowładnik świata połowicy.
Zmarszczył brwi: i tysiąc kibitek wnet leci;
Podpisał: tysiąc matek opłakuje dzieci;
Skinął: padają knuty od Niemna do Chiwy.
Mocarzu, jak Bog silny, jak szatan złośliwy!
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,

Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże;
Warszawa jedna twojej mocy sie urąga,
Podnosi na cię rękę i koronę ściąga—
Koronę Bolesławów Chrobrych z twojej głowy
Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowy:
Car dziwi się: ze strachu drżą Petersburczany;
Car gniewa się: ze strachu mrą jego dworzany;
Ale sypią się wojska, których Bóg i wiara
Jest car, a car gniewny: umrzem, rozweselim cara!
Posłany wódz kaukaski z siłami pół świata,
Wierny, czynny i sprawny, jak knut w ręku kata.
Ura! ura! Patrz, blisko reduty, już w rowy
Walą się, na faszynę kładąc swe tułowy;
Już czernią się na białych palisadach wałów.
Jeszcze reduta w środku jasna od wystrzałów,
Czerwieni się nad czernią; jak w środek mrowiska
Wrzucony motyl błyska: mrowie go naciska—
Zgasł: tak zgasła reduta...Czyż ostatnie działo?
Strącone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapał krwią ostatni bombardyer zalał?...
Zgasnął ogień. Już Moskal rogatki wywalał...
Gdzież ręczna broń?...Ach, dzisiaj pracowała więcej,
Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej!
Gdy godzinę wołano dwa słowa: pal, nabij;
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność;
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci,
Zołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
Szukała, nie znalazła — i żołnierz pobladnął!..
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął.
I uczuł, że go pali strzelba rozogniona;
Upuścił ją i upadł; nim dobiją, skona...
Takiem myślał; a w szaniec nieprzyjaciół kupa
Już lazła, jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach; a gdym łzy ocierał,
Słyszałem, że coś do mnie mówił mój jenerał,
On przez lunetę, wspartą na moim ramieniu,
Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu,
Nakoniec rzekł: "Stracona" I z pod lunety jego
Wymknęło się łez kilka; rzekł do mnie:-"Kolego",
Wzrok młody od szkieł lepszy; patrzaj, tam na wale,
Znasz Ordona, czy widzisz, gdzie jest?— Jenerale,
Czy go znam?...Tam stał zawsze, to działo kierował.
Nie widzę...znajdę...dojrzę.. śród dymu się schował:
Lecz śród najgęstszych kłębów dymu, ile razy
Widziałem rękę jego dającą rozkazy!...
Widzę go znowu!...widzę rękę...błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
Biorą go..zginął! O nie! Skoczył w dół, do lochów...
—"Dobrze, rzecze jenerał, nie odda im prochów".

Tu blask..dym..i chwila cicho..i huk jak stu gromów!

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów;
Harmaty podskoczyły i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach; lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam, i w gęstej chmurze nas ochłonął.
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
Spojrzałem na redutę: Wały, palisady
Działa, i naszych garstka, i wrogów gromady,
Wszystko jako sen znikło! Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży—rozjemcza mogiła:
Tam i ci, co bronili, i ci, co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli;
Choćby cesarz Moskalom kazał wstać, już dusza
Moskiewska ten raz pierwszy, cesarza nie słusza!
Tam zagrzebane tyluset ciała, imiona;
Dusze gdzie? nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza Ordona!
On będzie patron szańców! Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia:
Bóg wyrzekł słowo "stań się", Bóg i "zgiń" wyrzecze,

25 r

Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona,
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute:
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

(Kiedy skończył, Stefan siada wyczerpany cały od wysiłku i ciężko dyszy. Leon nalewa i podaje mu szklankę wody. Oficerowie klaszczą w dłonie, a potem wstają i mówią ze drżeniem w głośie): Zakończmy obchód modlitwą naszą.

(Wszyscy śpiewają: BOŻE COŚ POLSKĘ!)

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą Twej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały:
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę, wolność racz nam zwrócić Panie!

Ty, któryś potem tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczących za najświętszą sprawę
I chcąc świat cały mieć ich męstwą świadkiem
W nieszczęściach nawet pomnażał jej sławę:
Przed Twe ołtarze i t. d.

Wróć nowej Polsce świetność starożytną!
Użyźniaj pola, spustoszone łany,
Niech szczęście, pokój nanowo nam kwitną,
Przestań nas karać, Boże zagniewany!
Przed Twe ołtarze i t. d.

Jedno Twe słowo, ziemskich władców Panie,
Z prochów nas znowu podnieść będzie zdolne,
A gdy zasłużym na Twe ukaranie,
Obróć nas w prochy, ale prochy wolne!
Przed Twe ołtarze i t. d.

(Po odśpiewaniu hymnu kurtyna powoli opada.)